

Małgorzata Chaładus

Mozaika



Małgorzata Chaładus

Mozaika

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2016

Małgorzata Chaładus

„Mozaika”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o. o.
2016

Copyright © by Małgorzata Chaładus 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Wydawnictwo Psychoskok

Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcie okładki © Fotolia-cheng qin

Korekta: Marlena Rumak

ISBN: 978-83-7900-476-8

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SPIS TREŚCI

Cz. I Wypadek	4
Cz II - Pogrzeb	171
Część III - Rozterki	233
Część IV - Happy end.....	288

Cz. I

Wypadek

Wanda oddychała regularnie i głęboko. Chciała, żeby myślał, że już zasnęła. On nie spał. Czegoś oczekiwał. Żeby wymówiła jego imię? Za żadne skarby! Był obcy jak wszyscy inni, bezimienny. Poczula nieznośne swędzenie za lewym uchem. Oblało ją gorąco. Kropelki potu wystąpiły na czoło. Przygryzła dolną wargę, żeby nie krzyknąć. Krople nabrzmiewały jak wrzody. Ludzie w czasach zarazy najpierw przyglądali im się z niedowierzaniem, potem z przerażeniem i w końcu z rezygnacją. Rezygnacja... obojętność... nic lepszego nie może się przytrafić. Jak cudownie byłoby niczego już nie chcieć... nirwana... raj...

On ciągle nie spał. Wanda westchnęła i przewróciła się na lewy bok. Potarła głową o poduszkę. Ucho podwinęło się. Swędzenie przeszło w ból. Trzeba przeczekać, nie ruszać się. On na pewno czyha. Tak to już jest. Ludzie czyhają jeden na drugiego. Ona też. Żeby on zasnął. Zwykle zasypiał pierwszy. Na co on czyha? Na jej czyhanie? Wanda otworzyła oczy. Posłusznie starały się oswoić ciemność. Czyhały na cokolwiek do zobaczenia.

Wisząca na ścianie półeczka z książkami czyhała, żeby coś z niej wybrać. Wanda wysunęła język na całą długość. Zachichotała. Zaciśnęła usta czyhając na jego ruch. On zaśmiał się głucho. Bełkotał niezrozumiale i znowu się śmiał. Jednak zasnął i coś mu się śniło. Wandzie udzieliła się jego wesołość. Trzęsła się ze śmiechu. Łzy spływały na poduszkę, a on już był w innym świecie, oddychał spokojnie a nią ciągle szarpały paroksyzmy śmiechu. Dostała czkawki. Była pewna, że nie zaśnie. Wstała i na bosaka podreptała do kuchni, żeby napić się wody. Zapaliła światło. Wszystko było jak zwykle. Pęknięty w rogu kafelek nad zlewem czekał cierpliwie, żeby zakryć jego ranę jakąś nalepką. Ile razy o tym mówili? I nic. Na co komu rozmowy o pękniętym kafelku? Nic go przecież nie boli. Ból... Pewnych rzeczy nie da się wytłumaczyć. Trzeba zrezygnować. Nie ma lepszego wyjścia. Wanda przesunęła palcem po pęknięciu. Niech tak zostanie. Nie będą już o tym mówić. Człowiek dyszy, szarpie się, przestawia. I nic. Pozostaje sobą. Choćby zakłamał zdarzenia, które składały się na ograniczającą go formę. Jakie to oczywiste.

Rozejrzała się po kuchni. Wszystko było jak zwykle, oczywiste. Zalepienie jednego pęknięcia nic nie mogło zmienić. Ani przemeblowanie, ani przemaalowanie, ani przeprowadzka. Oczywistość rozrastała się w jej wnętrzu.

Była nieopanowana. Przerzucała się na coraz to nowe dziedziny świadomości. Plugawiła je. Nie dozwalała na nic oprócz siebie. Wanda sięgnęła po czajnik i napełniła go wodą. Niektóre myśli najlepiej zalewa się herbatą. Wrzuciła do kubka torebeczkę z suszem i czekała na szum gotującego się ukropu. Nareszcie. Płyn pogłębiał barwę. Wzruszyła ramionami. Tak naprawdę wcale nie chciało jej się pić. Wlała w siebie mnóstwo wody, zanim udało jej się opanować czkawkę. Herbata może poczekać do rana na Patryka. Lubił zimną. Nie obrzydzała go nawet połyskująca metalicznie na powierzchni płynu błonka. Wanda zakłęta. Dlaczego czepia się drobiazgów? Miłość powinna wznieść się ponad trywialność. Nie miała wątpliwości, że go kocha. Nawet w chwilach rozdrażnienia. To powinno wystarczyć. Tak, to wystarczy. Miłość niejedno ma imię. Wanda zaśmiała się. Który to z kolei banał w jej życiu? Nie wolno tak myśleć. Trzeba być blisko, skrócić odległość między dwoma niezrozumiałymi dla siebie światami na ile się da. Spowodować emocjonalną osmozę. W miarę, w miarę. Wzdrygnęła się. Zderzenie z antyświatem. Unicestwienie. Definitywny koniec banału. Samo życie nim jest. Miliardy, które przeminęły bez śladu... miliardy, które dopiero przemijają... i te, które dopiero rozpoczną przemijanie...

Ile wzorców ludzkich losów może istnieć dla przesuających się w nicość niekończących się szeregów cieni... wszystko się już zdarzyło...

Wanda zatkała uszy. Nie pomogło. Głos wdzierał się do mózgu przez przeszkodę palców.

Bądź dzielna... dzielna... dzielna... Nie mogła sobie przypomnieć, kto pierwszy to powiedział. Inni podchwycili ten banał. Powtarzali miękkimi głosami. Bezsensownie! Koniec świata powinien być ogłoszony trąbami. Nie wierzyła. Krzyknęła, że kłamią. Żeby się wynieśli. Wieczorem, jak zwykle, przygotowała kolację dla nich obojga. Była zła, że Sean się spóźnia. Wiatr wzmagął się za oknem. Morze huczało. Wyszła przed dom. Ciemne, bezchmurne niebo wchłonęło w siebie ocean. Pozostały tylko białe grzywy fal. Krzyczała jego imię. Chrypiała nim, kiedy ktoś na jakimś łóżku poił ją herbatą. Tylko je pamiętała. Nic więcej jej nie obchodziło.

Długo nie mogła się zdobyć, żeby iść na brzeg. Jednak chciała zobaczyć, przekonać się, że wszystko się zmieniło. Pochyliła się nad urwiskiem. Między wystającymi z dna zębiskami skał leniwie chlupotała woda. Morze było spokojne. Syte, zadowolone. Pożarło kolejną ofiarę. Nic się nie zmieniło. Wanda schyliła się po kamień i z rozmachem cisnęła nim w milczącą sennie

głębie. Śledziła jego lot. Zerwał się lekki wietrzyk. Kamień zniknął bez śladu. Kręgi, które mogły znaczyć miejsce upadku, zatarły falki rozkołysane na powierzchni powiewem.

Wanda ocknęła się. Zmarszczyła się gniewnie. Jest tutaj. Nie trzeba oglądać się wstecz. Nie trzeba lekceważyć rozmów o pękniętych kafelkach. Tylu ludziom to wystarcza. Przesunęła dłońmi po policzkach, szyi. Zjechała w dół po piersiach, brzuchu, udach. Przecież jest. Głupie, nocne myśli. Obrzydliwa, letnia herbata...

Wanda wróciła do sypialni. Zapaliła nocną lampkę nad swoim łóżkiem. Wsunęła się na posłanie i pochyliła nad śpiącym mężczyzną. Patryk leżał na wznak. Kołdra unosiła się leciutko w rytm jego oddechu. Odrzucona na bok ręka opierała się o poduszkę na posłaniu Wandy. Przyglądała się jego dłoni. Czowała ją nieraz na swoim ciele. Obserwowała jej zręczność w niezliczonych zajęciach. Lekko zagięte palce przysłaniały jej wnętrze. Zacieniały linie. Nie pamiętała, która była linią życia. Nieważne, znała tę dłoń. Po co zastanawiać się, co można z niej wyczytać. Komu to potrzebne. Ile można wiedzieć o drugim człowieku? A o sobie? I po co? To byłoby zbyt niebezpieczne. I oczywiste. Śmiertelnie nudne. Poza tym mogłaby już tylko istnieć negacja. Wanda pogłaskała dłoń mężczyzny. Czowała pod palcami

gładkość skóry. Ta dłoń była inna... wszystko jest inne... nic nie trwa... Jej dłoń ścisnęła lekko tę śpiącą na kołdrze, cofnęła się i zgasła lampkę. Patryk zamruczał i przewrócił się na bok. Wanda wpatrzyła się w sufit. Jego biel uparcie nie poddawała się ciemności. Nie do zniesienia. Nienawistna.

Łódź gnała w stronę skały jak wycelowany pocisk. Uderzyła z hukiem w kamienną ścianę. Drzemiące w szczelinach mewy, zerwały się z wrzaskiem i poszybowały w górę. Tylko zaplątany w ich stado barwny ptak nie dał się ponieść panice. Rozprostował skrzydła i sfrunął lekko na występ skalny wiszący nad miejscem wypadku. Przekrzywił głowę. Wpatrywał się w kotłującą w dole kipiela jakby czegoś oczekując...

Wrak łodzi nadawał się tylko na złom. Zmiażdżone części, wyposażenie, unosiły się na wodzie wokół skały jak ławica śniętych ryb. Kobieta już nie żyła. Mężczyzna był potrzaskany. W szoku. Ścisnął rękę Maksa jak niemowlę. Nic oprócz bólu nie docierało do jego świadomości. Jak to się mogło stać? Wszystko się wyjaśni. Ekipa techników robiła pomiary, zdjęcia. W górze zawarczał helikopter. Ambulans dostarczy rannego do szpitala. Potem oni zawiozą denatkę do

kostnicy. Już nie kobieta. Denatka, obiekt. Jedno słowo a tyle wredoty. Jeszcze niedawno było zupełnie normalne. Nie skłaniało do refleksji. Pasowało w raportach. To Marlena uwrażliwiła go na jego znaczenie. Co jest do jasnej cholery? Ma zmienić zawód? Wydawało mu się, że się rozdziwił. Jedna połowa czepiała się śliskiej skały i rannego a druga unosiła się nad miejscem wypadku, może zbrodni i snuła refleksje. Czuł rosnącą irytację. Nie wierzył w żadne alter ego. Był tu i teraz. Widział, co widział. Strząsnął z pleców uczucie mrowienia. Podniósł głowę do góry. Zaśmiał się. Co mu strzeliło do łba z tym lataniem. Znalazł się Ikar. W górze tylko gapie. Złazili się jak mrówki do zdechłej gąsienicy. Skąd? Przypomniał sobie.

Z miasta wyjeżdża się przez most. Czteropasmowa szosa jest zawsze zapchana. Jasne, że niektórzy pchają się właśnie do miasta, bo droga jest dwukierunkowa. Ma po dwa pasma w każdą stronę. Czy milej jest wyjeżdżać z miasta niż wjeżdżać do niego? Zależy jaki się ma cel. Każdy wie swoje i nie zastanawia się nad potrzebami innych. Wystarczy, że sobie bez przerwy przeszkadzają. Jak jeździsz, baranie! Nawet najgorszemu baranowi nie strzeli do łba, żeby się zatrzymać na moście. Trochę szkoda. Wcale nie dlatego, że można by go zepchnąć. Chodzi o widok. Jaki sens ma piękno, którego nikt nie

chce podziwiać? Jak by się komuś chciało popatrzeć z mostu w dół, to przez skalną rozpadlinę pod nim przeżyna się kiszkowate odgałęzienie jeziora. Z jednego brzegu lita skała wznosi się prawie pionowo aż do poziomu szosy. Maskuje swój brutalny charakter pokrywą lasu, głównie sosnowego. Widać też białe pnie brzoź. Muszą być i jarzębiny, jak wszędzie, gdzie bywają ptaki. Orać nie orzą, ale srając sięją. Coś je spłoszyło. Krążą ciężko nad rozpadliną. Ciężą im napchane koralami jarzębiny brzuchy. Drą się, bo ogołociły lasek z czerwieni. Co im wtóruje? A, helikopter! Pewnie policyjny. Lepiej uważać. Wieloczłonowe węże mijające się w pędzie z miasta i do miasta zwalniają na chwilę. Jakiś baran nie zauważył, co jest grane i wyrwa się do przodu na rzeź. Inny trąbi na niego, miga światłami. Trzeba skończyć z gadaniem o braku empatii. Ludzie są i pozostaną ludzcy. Szary człowiek to całe spektrum. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni pryzmat, żeby olśnił barwami. Kto ma na to czas? Szybciej! Szybciej! Przed nimi jeszcze jeden most. Trzeba patrzeć w przód. Za mostami jest ostry zakręt, za którym zdarzają się czasem wypadki, chociaż szosa jest jednokierunkowa i dwupasmowa. Niektóre barany wloką się lewym pasem niewiele szybciej, niż te z prawego pasa. Jak ktoś się z niego wyrwie nie w porę, wali w zad barana na lewym. Ale go

rzuciło! Obydwa pasy zablokowane. Trzeba czekać na policję, pogotowie. Jakiś facet szarpie drzwi rozbitego auta, nachyla się nad rannymi. Pewnie lekarz. Jeszcze niedawno był po prostu baranem. Teraz kieruje wstępną akcją ratunkową. Jak długo trzeba będzie stać? Ci na pierwszym moście mogą się tylko domyślać, co się stało. Patrzą zazdrośnie na węże pełznące w stronę miasta. Jeden z czekających przypomniał sobie, że stał kiedyś na moście półtorej godziny. Wypadek, wiadomo. Z mostu trudno o objazd. Chyba, że skoczyć w dół i opłynąć. Szkoda, że nikt nie może usłyszeć żartu. Wszyscy gapią się przed siebie jakby mogli wyczarować oczami przesmyk dla swojego auta. Nic i nikt się dla nich nie liczy. Zatomizowani? Niezupełnie. Osobni a myślą identycznie. Szosowy filozof rozejrzał się dokoła. Tak chciałby się podzielić z kimś swoimi rozważaniami. Ktoś wreszcie wysiadł z auta, żeby rozprostować nogi, przechylił się nad barierą mostu i machnął ręką na towarzysza podróży. Wszyscy zrozumieli. Na dole działo się coś ciekawego. Wielu wysypało się zza kierownic. O, ktoś chyba spróbował czy jego limuzyna nadaje się na amfibię, rzucił dowcipniś. Rozległy się śmiechy, które przeszły w przestraszone okrzyki. W dole działo się coś niezwykłego. Dowcipniś przepchał się do bariery. Przy skale kołysała się na falach rozbita łajba z żaglem, jak

złamane skrzydło ptaka. Są też łodzie policyjne. Z daleka malutkie jak zabawki. A ludzie w ciemnych mundurach wyglądają jak mrówki. Pełzną po skale. Coś z niej podnoszą. Kogoś? Nie warto rozmyślać nad poczynaniami mrówek. Trzeba zawiadomić, że się nie zdąży na czas.

Komórki poszły w ruch. Nie wszystkim udało się dodzwonić. Były wśród tych pechowców niespokojne matki, stoicy, kochankowie i ci, którzy pałali niecierpliwością, żeby podzielić się z kimś najświeższą wiadomością, której jedynymi posiadaczami byli, choć na krótko. Kciuki też poszły w ruch. Imiona poniosły w eter efekty zdarzenia.

Ludzi fascynuje cudze nieszczęście. Z początku nie zdawali sobie sprawy, że mogą je obejrzeć z bliska. Facet, którego pasjonowała obserwacja ptaków, wrócił do auta po lornetkę. Był w porządku, pożyczał, nawet pomagał regulować ostrość. Patrzyli jakby byli o krok od zdarzenia. Jest prawie goły, nawet kość sterczy spod skóry, daj pan popatrzeć, przegadywali się cynicy. Niektórzy gapie pobledli, odwracali się plecami do bariery, szybko oddawali lornetkę w inne ręce. Niektórzy zastanawiali się, jak to się mogło stać. Jakaś młoda kobieta mówiła o kruchości ludzkiego życia, jakby wcześniej tego nie rozumiała. Mężczyzna, który był

doświadczonym żeglarzem, rozważał możliwe przyczyny wypadku używając żeglarskiej gwary.

Maks spojrział w górę i zaklął. Wysyłane przez gapiów wiadomości krążyły mu nad głową jak rój owadów. Prawie poczuł jak wciskające się do wnętrza banały świdrują jego w ucho. Nie rozumiał poszczególnych słów. Czuł tylko ich bolesną miąłkość. Gdyby mógł odgadnąć... Potrząsnął głową z irytacją. Bezsensowna zgaduj zgadula. Trzeba zagłuszyć nic nie znaczące brzęczenie. Zaczął coraz głośniejsze powtarzać słowa modnego hitu. Nie pomagało. Eter uparcie świdrował w uszach. Dlaczego ludzi tak fascynuje cudze nieszczęście?

- Marlena... - zaklął.

- Ma to wszystko umieścić w raporcie? Swoje rozważania o poczynaniach gapiów? - Maks zacisnął szczęki. Co go dzisiaj napadło? Bawić się w zgadywanki? Trzeba wziąć się w garść. Popatrzył w górę. Karetka na sygnale przemknęła przez most lewym pasem, spędzając z niego gapiów, którym znudziło się gapienie. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę, zakołysały się z satysfakcją. Nie myliły się w sprawie drugiego wypadku. Potem pochyliły się znowu nad barierą. Tylko niecierpliwi wsiedli do aut. Wpatrzeni przed siebie, z rękami na kierownicach, czekali na start. Karetka pędziła już na

sygnale w stronę miasta. Gapie znowu zrobili w tył zwrot od bariery. Wpatrywali się w oddalające się światła. Jak stado baranów. Trzeba im przypomnieć o rzeczywistości. Zastygli na nagły dźwięk. Klaksony? Głowa węża odrywa się od cielska, pełźnie w przód. Trzeba ją gonić. Rzucili się do aut.

Maks pochylił głowę. Od zadzierania zeszywniał mu kark. Wzruszył ramionami. Nie było na co patrzeć. Jeżeli nawet nie było tak jak myślał, to w każdym razie bardzo podobnie. Otarł pot z czoła. Dłoń rannego zwiotczała, zsunęła się z jego palców na skałę. Czyżby koniec? Nie, palce mężczyzny wpiły się znowu w nierówność kamienia z taką siłą, że krew popłynęła spod paznokci. Helikopter-ambulans zniżał lot hucząc. Wzbijane przez niego fale zakołysały gwałtownie wrakiem, wprawiły w ruch unoszące się martwo na powierzchni wody przedmioty.

Ból ustał. Wanda uniosła się i z góry przyglądała się rozrzuconym po skale sylwetkom. Celowa precyzja ich ruchów automatyzowała je i pozbawiała indywidualnych, a nawet ludzkich cech.

- Roboty - szepnęła Wanda.

Niedawno była taka sama. Teraz wszelki automatyzm spływał z niej jak topniejący w słońcu śnieg. Była lekka.

Dziękujemy za skorzystanie
z oferty naszego wydawnictwa
i życzymy miło spędzonych chwil
przy kolejnych naszych
publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

